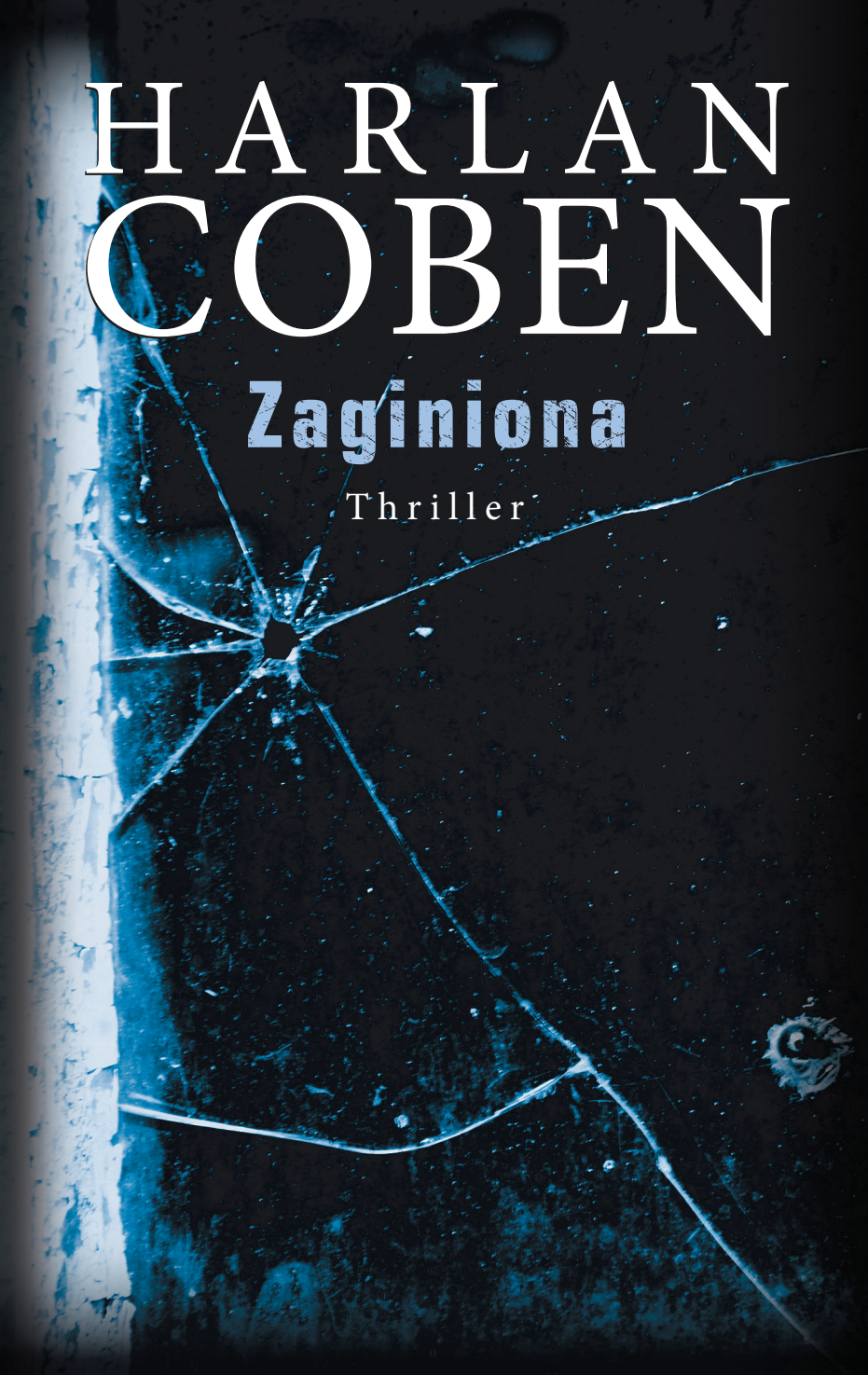


HARLAN COBEN

Zaginiona

Thriller



1

– Nie znasz jej sekretu – powiedział mi Win.

– A powinienem?

Win wzruszył ramionami.

– Czy to coś złego? – zapytałem.

– Bardzo – odparł Win.

– No to może nie chcę go znać.

■ ■ ■

Dwa dni przed tym, jak poznałem ten sekret, który skrywała przez dziesięć lat – pozornie prywatną sprawę, która nie tylko zniszczyła nas oboje, ale na zawsze zmieniła świat – Terese Collins zadzwoniła do mnie o piątej rano, przenosząc mnie z jednego półerotycznego snu w drugi.

– Przyjedź do Paryża – powiedziała po prostu.

Nie wiem, od ilu lat nie słyszałem jej głosu. Chyba od siedmiu. Były szумы na linii, a ona nie traciła czasu na powitania czy wstępy. Usiadłem na łóżku.

– Terese? Gdzie jesteś? – zapytałem.

– W zacisznym hotelu o nazwie d'Aubusson, na lewym brzegu Sekwany. Spodoba ci się tu. O siódmej wieczorem masz samolot linii Air France.

Oczami duszy zobaczyłem szereg obrazów: jej będące obrazą moralności bikini, tamtą prywatną wyspę, rozgrzaną słońcem plażę, jej spojrzenie mogące stopić skałę, znów to prowokacyjne bikini.

Bikini było warte dwukrotnego wspomnienia.

– Nie mogę – powiedziałem.

– Paryż – zachęcała.

– Wiem.

Prawie dziesięć lat temu uciekliśmy na wyspę jako dwie zagubione dusze. Myślałem, że już nigdy się nie zobaczymy. A jednak. Kilka lat później pomogła uratować życie mojego syna. A potem puff – znikła bez śladu, aż do teraz.

– Pomyśl o tym – ciągnęła. – Miasto Zakochanych. Moglibyśmy kochać się przez całą noc.

Jakoś zdołałem przełknąć ślinę.

– Tak, pewnie, ale co robilibyśmy w dzień?

– Jeśli dobrze pamiętam, ty zapewne potrzebowałbyś odpoczynku.

– I witaminy E. – Uśmiechnąłem się mimo woli. – Nie mogę, Terese. Jestem z kimś.

– Z tą wdową z jedenastego września?

Zastanawiałem się, skąd o tym wie.

– Taaak.

– To nie miałyby z nią nic wspólnego.

– Przykro mi, ale ja myślę, że tak.
– Jesteś zakochany? – spytała.
– A miałoby jakieś znaczenie, gdybym powiedział, że jestem?

– Niezupełnie.

Przełożyłem słuchawkę do drugiej ręki.

– Co się stało, Terese?

– Nic złego. Chcę spędzić z tobą romantyczny, zmysłowy, fantastyczny weekend w Paryżu.

Znów przełknąłem ślinę.

– Nie odzywałaś się przez ile... siedem lat?

– Prawie osiem.

– Dzwoniłem. Wiele razy.

– Wiem.

– Zostawiałem wiadomości. Pisałem listy. Próbowałem cię znaleźć.

– Wiem – powtórzyła.

Zapadła cisza. Nie lubię ciszy.

– Terese?

– Kiedy mnie potrzebowałaś – odezwała się wreszcie – naprawdę potrzebowałaś, byłam przy tobie, prawda?

– Tak.

– Przyjedź do Paryża, Myronie.

– Tak po prostu?

– Tak.

– Gdzie się podziewałaś przez cały ten czas?

– Opowiem ci wszystko, kiedy tutaj dotrzesz.

– Nie mogę. Jestem z kimś.

Znów ta przekłeta cisza.

– Terese?

– Pamiętasz, kiedy się poznaliśmy?

Stało się to tuż po największej katastrofie w moim życiu. Podejrzewam, że tak samo było z nią. Oboje zostaliśmy wypchnięci przez życzliwych przyjaciół na wentę dobroczynną i gdy tylko się zobaczyliśmy, było tak, jakby nasze nieszczęścia przyciągały się niczym magnesy. Niespecjalnie wierzę w to, że oczy są oknami duszy. Znałem zbyt wielu psycholi potrafiących zwodzić ludzi, żeby wierzyć w takie pseudonaukowe stwierdzenia. Jednak smutek w oczach Terese był tak widoczny. Emanował z całej jej istoty i tamtego wieczoru, na ruinach mojego życia, właśnie tego potrzebo-
wałem.

Jeden z przyjaciół Terese miał wysepkę na Morzu Karaibskim, niedaleko Aruby. Polecieliśmy tam jeszcze tej samej nocy, nikomu nie mówiąc, dokąd się udajemy. Spędziliśmy razem trzy tygodnie, kochając się, niewiele mówiąc, znikając i zatapiając się w sobie, gdyż nic innego nam nie pozostało.

– Oczywiście, że pamiętam – powiedziałem.

– Oboje byliśmy zdruzgotani. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Jednak oboje wiedzieliśmy.

– Tak.

– Cokolwiek cię załamało, zdołałeś się z tym uporać. To naturalne. Dochodzimy do siebie. Odbudowujemy swoje życie, kiedy legnie w gruzach.

– A ty?

– Ja nie odbudowałam swojego. Nie sędzę, żebym chciała to zrobić. Byłam zdruzgotana i może tak było najlepiej.

– Nie wiem, czy nadażam.

Mówiła coraz ciszej.

– Nie sądziłam... poprawka, nadal nie sędzę, że chciałabym zobaczyć, jak wyglądałby ten mój odbudowany świat. Nie sędzę, że spodobałby mi się rezultat.

– Terese?

Nie odpowiedziała.

– Chcę ci pomóc.

– Może nie jesteś w stanie. Może to nie ma sensu.

Znów cisza.

– Zapomnij, że dzwoniłam, Myronie. Uważaj na siebie. I rozłączyła się.

2

– Ach – powiedział Win – apetyczna Terese Collins. Doskonały, światowej klasy tyłeczek.

Siedzieliśmy na rozklekotanych składanych trybunach sali gimnastycznej Kasselton High School. W powietrzu unosiły się znajome zapachy potu i środków czystości. Wszystkie dźwięki były zniekształcone, jak w każdej sali gimnastycznej na całym kontynencie, a dziwne echa tworzyły dźwiękowy odpowiednik zasłony prysznic.

Uwielbiam takie sale gimnastyczne. Dorastałem w nich. Wiele najszcześniejszych chwil mojego życia spędziłem w podobnych dusznych pomieszczeniach z piłką od kosza w rękach. Uwielbiam odgłos kozłowania. Uwielbiam warstewkę potu pokrywającą twarze zawodników podczas rozgrzewki. Uwielbiam szorstką skórę piłki pod czubkami palców, ten moment niemal religijnego skupienia, z jakim wpatrujesz się w brzeg kosza, rzucasz piłkę, a ta wiruje w powietrzu i nie ma niczego poza nią.

- Cieszę się, że ją pamiętasz – powiedziałem.
- Doskonały, światowej klasy tyłeczek.
- Taaak, załapałem za pierwszym razem.

Win dzielił ze mną pokój na studiach, a teraz jest moim współnikiem i – tak samo jak Esperanza Diaz – moim najlepszym przyjacielem. Naprawdę nazywa się Windsor Horne Lockwood Trzeci i dokładnie tak wygląda: rzedniejące blond loczki z nieziemsko równym przedziałkiem, rumiana cera, twarz rzymskiego patrycjusza, opalenizna golfisty i oczy niebieskie jak lód. Miał na sobie potwornie drogie spodnie khaki, których kanty rywalizowały z przedziałkiem, niebieski blezerek od Lilly Pulitzer z różowo-zieloną podszewką oraz dopasowaną kolorem chusteczkę w butonierce, sterczącą jak tryskający wodą kwiatek cyrkowego klauna.

Strój wymoczek.

– Kiedy Terese występowała w telewizji – rzekł Win, a jego snobistyczny akcent absolwenta prywatnej szkoły sprawił, że zabrzmiało to tak, jakby wyjaśniał coś najzupełniej oczywistego dziecku opóźnionemu w rozwoju – nie można było go docenić. Siedziała za biurkiem.

– Uhm.

– Potem jednak zobaczyłem ją w tym bikini... – Uważnym czytelnikom wyjaśniam, że chodziło mu o to prowokacyjne bikini, o którym wspominałem wcześniej. – No cóż, to cudowna zaleta. Marnowała się jako spikerka. Jeśli się nad tym zastanowić, to prawdziwa tragedia.

– Jak katastrofa „Hindenburga”.

– Zabawna uwaga – skwitował Win. – I jakże na czasie.

Zawsze miał wyniosłą minę. Ludzie patrzyli na niego i widzieli snobistycznego, wyalienowanego bogacza. W znacznej części było to prawdą. Jednak ta część, w której się mylili... tę mogli przypłacić ciężkim kalectwem.

– No, dalej – zachęcił Win. – Dokończ swoją opowieść.

– To już wszystko.

Win ściągnął brwi.

– Zatem kiedy wylatujesz do Paryża?

– Nie wylatuję.

Na boisku do koszykówki zaczęła się druga kwarta. Grali chłopcy z piątej klasy. Moja dziewczyna – to dość niezręczne określenie, ale nie jestem pewien, czy któreś z takich jak „dama mego serca”, „druga połowa” lub „kochanka” pasuje – Ali Wilder ma dwoje dzieci, z których młodsze gra w tej drużynie. Ma na imię Jack i nie jest zbyt dobry. Nie oceniam go i nie przesądzam jego przyszłych osiągnięć – Michael Jordan nie od razu dostał się do szkolnej drużyny koszykówki – tylko mówię, jak jest. Jack jest duży, jak na swój wiek, krzepki i wysoki, a z tym często idzie w parze brak szybkości i koordynacji ruchowej. Na parkiecie przypomina konia pociągowego.

Jednak Jack uwielbia tę grę, a to wiele dla mnie znaczy. To fajny dzieciak, bystry w najlepszym znaczeniu tego słowa i potrzebujący ciepła, jak każdy chłopiec, który tak tragicznie i przedwcześnie stracił ojca.

Ali nie mogła przyjść przed zakończeniem pierwszej połowy, a ja przynajmniej staram się podnosić go na duchu.

Win wciąż miał ściągnięte brwi.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem: odmówiłeś spędzenia weekendu z apetyczną panną Collins i jej światowej klasy tyłeczkiem w luksusowym paryskim hotelu?

Rozmowa z Winem o związkach międzyludzkich to nieporozumienie.

– Zgadza się.

– Dlaczego? – Win odwrócił się do mnie. Wyglądał na szczerze zdziwionego. Zaraz jednak się uspokoił. – Och, poczekaj.

– Co?

– Przytyła, tak?

Cały Win.

– Nie mam pojęcia.

– A zatem dlaczego?

– Wiesz dlaczego. Jestem z kimś, pamiętasz?

Win popatrzył na mnie tak, jakbym załatwiał się na środku boiska.

– No co? – zapytałem.

Usiadł prosto.

– Stara baba z ciebie.

Sygnal wezwał zawodników na parkiet. Jack założył gogle i z cudownie dobrodusznym półuśmiechem poczłapał w kierunku stołu sędziowskiego. Piątoklasiści z Livingston grali ze swoimi najgroźniejszymi rywalami z Kasselton. Starałem się nie uśmiechać drwiąco na widok pasji – nie tyle grających dzieciaków, ile ich rodziców na trybunie. Nie chcę uogólniać, ale matki zazwyczaj można podzielić na dwie grupy:

gadudy, które traktują mecz jako imprezę towarzyską, oraz męczennice, które umierają za każdym razem, gdy ich latorośl dotknie piłki.

Ojcowie często bywają bardziej kłopotliwi. Niektórzy potrafią trzymać niepokój na wodzy, mamrocząc pod nosem i gryząc paznokcie. Inni głośno krzyczą. Objeżdżają sędziów, trenerów i dzieciaki.

Jeden z ojców, siedzący dwa rzędy przed nami, miał to, co Win i ja nazywaliśmy „sportowym syndromem Tourette’a” – najwyraźniej nie mógł się powstrzymać od wymyślenia głośno wszystkim wokół przez cały mecz.

Ja patrzę na to z nieco innej perspektywy, trzeźwiej niż większość kibiców. Byłem rzadkim przypadkiem bardzo utalentowanego zawodnika, co zaskoczyło całą moją rodzinę, ponieważ przede mną największym sportowym osiągnięciem Bolitarów była wygrana wuja Saula w tryk-traka podczas rejsu statkiem w 1974 roku. Ukończyłem szkołę średnią w Livingston, wytypowany przez Parade do reprezentacji USA. Byłem gwiazdą drużyny Duke, która ze mną jako kapitanem dwukrotnie zdobyła mistrzostwo NCAA. W jesiennej rundzie miałem grać w Boston Celtics.

I nagle ba-bach, wszystko przepadło.

– Zmiana! – krzyknął ktoś.

Jack poprawił gogle i wybiegł na boisko.

Trener przeciwnej drużyny wskazał na niego i krzyknął:

– Hej, Connor! Masz nowego. Jest duży i powolny.

Wymijaj go.

– To wyrównana gra – jęknął tatusiek z syndromem Tourette’a. – Dlaczego wystawili go akurat teraz?

Duży i powolny? Czy ja dobrze usłyszałem?

Spojrzałem na trenera Kasselton. Miał tlenione, nastroszone żelam włosy i czarną, równo przystrzyżoną kocią brodkę, która nadawała mu wygląd podstarzałego basisty z boys bandu. Był wysoki – ja mam metr dziewięćdziesiąt dwa, a ten facet był z pięć centymetrów wyższy i jakieś dziesięć do piętnastu kilogramów cięższy.

– Jest duży i powolny? – powtórzyłem. – Dasz wiarę, że ten trener właśnie to krzyknął?

Win wzruszył ramionami.

Ja też próbowałem to zignorować. To ogień walki. Zapomnijmy.

Przy remisowych dwudziestu czterech doszło do katastrofy. Tuż po przerwie technicznej drużyna Jacka wprowadziła piłkę pod kosz przeciwnika. Zespół Kasselton przeszedł do obrony. Jack był na wolnej pozycji. Dostał podanie, lecz naciskany przez obronę, na moment się pogubił. Zdarza się.

Szukał pomocy. Spojrzał na ławkę Kasselton, która była bliżej, a Wielki Szczotkogłowy Trener wrzasnął: „Strzelaj! Strzelaj!” – i wskazał mu kosz.

Niewłaściwy kosz.

– Strzelaj! – znów krzyknął trener.

A Jack, który po prostu był dobrym chłopcem i ufał dorosłym, zrobił to.

Piłka wpadła do kosza. Niewłaściwego. Dwa punkty dla Kasselton.

Rodzice z Kasselton przyjęli to gromkimi owacjami, a nawet śmiechem. Rodzice z Livingston załamywali ręce i jęczeli, przygnębieni pomyłką piątoklasisty. A wtedy trener Kasselton, ten facet z nastroszonymi włosami i kozią bródką basisty, przybił piątkę swojemu zastępcy i wskazał Jacka palcem.

– Hej, dzieciaku, zrób to jeszcze raz!

Jack może i był największym chłopcem na boisku, ale teraz wyglądał tak, jakby bardzo starał się być jak najmniejszy. Dobroduszny uśmiech znikł. Wargi mu drżały. Mrugał nerwowo. Widać było, że cierpi, a ja cierpiełem razem z nim.

Ojciec z Kasselton nie posiadał się z radości. Ze śmiechem przyłożył dłonie do ust.

– Podawajcie do tego dużego z przeciwnej drużyny! – ryknął jak przez megafon. – To nasza tajna broń!

Win klepnął go w ramię.

Facet odwrócił się do Wina i zobaczył jego wymocz-kowaty strój, blond włoski i porcelanową buźkę. Już miał uśmiechnąć się szyderczo i rzucić jakąś pogardliwą uwagę, ale coś – zapewne instynkt przetrwania, jaki mają nawet gady – kazało mu się rozmyślić. Napotkał lodowate spojrzenie oczu Wina i spuścił wzrok.

– Taaak, przepraszam, to było niepotrzebne.

Ledwo go słyszałem. Znieruchomiałem. Siedziałem na trybunach i patrzyłem na tego cwaniaczka trenera z nastroszonymi włosami. Czułem, jak krew uderza mi do głowy.

Dźwięk dzwonka ogłosił koniec pierwszej połowy. Trener

wciąż się śmiał i rozbawiony kręcił głową. Jeden z jego pomocników podszedł i uścisnął mu dłoń. To samo zrobiło kilkoro rodziców i widzów.

– Muszę iść – rzekł Win.

Nic nie powiedziałem.

– Mam zostać w pobliżu? Na wszelki wypadek?

– Nie.

Win kiwnął głową i odszedł. Wciąż nie odrywałem oczu od trenera Kasselton. Wstałem i zacząłem schodzić z rozklekotanej trybuny. Drewniane stopnie dudniły pod moimi nogami. Trener ruszył do drzwi. Poszedłem za nim. Zmierzał do łazienki, uśmiechając się jak idiota, którym niewątpliwie był. Czekałem na niego przy drzwiach.

– Świetne – powiedziałem, gdy wyszedł.

Na koszulce miał wyhaftowany napis „Trener Bobby”. Przystanął i wytrzeszczył oczy.

– Słucham?

– Zachęcanie dziesięciolatka, żeby rzucił do niewłaściwego kosza – wyjaśniłem. – I ten zabawny okrzyk: „Hej, dzieciaku, zrób to jeszcze raz!”, kiedy go upokorzyłeś. Świetna robota, trenerze Bobby.

Zmrużył oczy. Był rosty, opasty, miał grube przedramiona, szerokie łapska i czółko neandertalczyka. Znałem ten typ. Wszyscy takich znamy.

– To część gry.

– Wyśmiewanie dziesięciolatka to część gry?

– Mącenie w głowie. Zmuszanie przeciwnika, by popełnił błąd.

Nic nie powiedziałem. Zmierzył mnie wzrokiem i doszedł do wniosku, że owszem, mógłby mnie załatwić. Dużi faceci, tacy jak Trener Bobby, są pewni, że mogą załatwić właściwie każdego. A ja tylko na niego patrzyłem.

– Ma pan jakiś problem?

– To są dziesięcioletnie dzieci.

– Racja, pewnie, dzieciaki. A pan co, jest pan jednym z tych upierdliwych przeczulonych tatusiów, którzy uważają, że na boisku wszyscy powinni być równi? Niczyje uczucia nie powinny być zranione, nikt nie powinien wygrać ani przegrać... Hej, może nie powinniśmy w ogóle liczyć punktów, co?

Podszedł do nas asystent trenera. Miał taką samą koszulkę, tylko z napisem „Asystent Trenera Pat”.

– Bobby? Zaraz zacznie się druga połowa.

Podszedłem krok bliżej.

– Po prostu niech pan da mu spokój.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, Trener Bobby odpalił z drwiącym uśmiechem:

– Bo co?

– To wrażliwy chłopiec.

– Ojejku. Jeśli jest taki wrażliwy, to może nie powinien grać?

– A pan może nie powinien być trenerem?

Wtedy Asystent Trenera Pat zrobił krok naprzód. Popatrzył na mnie i na jego twarzy pojawił się ten wszytkowiedzący uśmieszek, który znałem aż za dobrze.

– No, no, no...

– Co? – spytał Trener Bobby.

- Czy wiesz, kim jest ten facet?
- Kim?
- To Myron Bolitar.

Było widać, jak Trener Bobby obraca moje nazwisko w głowie, jakby miał szybkę w czole, za którą wiewiórka biega coraz szybciej w swojej klatce. Kiedy synapsy przestały iskrzyć, jego uśmiech rozciągnął kozią bródkę wraz z kącikami ust.

– Ten wielki „supergwiazdor” – palcami nakreślił w powietrzu cudzysłów – który nie poradził sobie w zawodowej? Światowej sławy zawodnik, który odpadł w pierwszej rundzie?

- Ten sam – potwierdził Asystent Trenera Pat.
- Teraz rozumiem.
- Hej, Trenerze Bobby? – powiedziałem.
- Co?

– Po prostu zostaw dzieciaka w spokoju.

Zmarszczył czoło.

– Nie chcesz ze mną zadzierać – uznał.

– Masz rację. Nie chcę. Po prostu zostaw dzieciaka w spokoju.

– Nie ma mowy, koleś. – Uśmiechnął się i podszedł bliżej. – Masz z tym jakiś problem?

– Mam, i to duży.

– No to może przedyskutujemy go po meczu? Na osobności?

Krew zaczęła mi żywiej krążyć w żyłach.

– Czyżbyś wyzywał mnie na pojedynek?

– Taaa. No chyba, rzecz jasna, że tchórzysz. Tchórzysz?

– Nie tchórzę.

Czasem wychodzą mi cięte riposty. Tak trzymać.

– Muszę wracać na mecz. Potem załatwimy to, ty i ja.

Kapujesz?

– Kapuję.

Kolejna cięta riposta. Świetnie mi idzie.

Trener Bobby podsunął mi palec pod nos. Zastanawiałem się, czy mu go nie odgryźć – to zawsze zmusza do zastanowienia.

– Jesteś głupi, Bolitar. Słyszysz mnie? Głupi.

– Głuchy?

– Głupi.

– Och, to dobrze, bo gdybym był głuchy, to nie mógłbym cię zrozumieć. A jeśli się dobrze zastanowić, to gdybym był głupi, też bym nie rozumiał.

Sygnał ogłosił koniec przerwy.

– Chodź, Bobby – powiedział Asystent Trenera Pat.

– Głupi – powtórzył jeszcze raz.

Przyłożyłem dłoń do ucha, jakbym nie dosłyszał.

– Co?! – krzyknąłem, ale on już się oddalił.

Patrzyłem, jak idzie. Szedł tym pewnym siebie, rozkołysanym krokiem, sztywno wyprostowany, trochę za bardzo wymachując rękami. Już miałem krzyknąć coś głupiego, gdy ktoś położył rękę na moim ramieniu. Odwróciłem się. To była Ali, matka Jacka.

– O co chodziło? – zapytała.

Twarz Ali była miła i szczerą, a jej wielkie zielone oczy

miały dla mnie nieodparty urok. Chciałem porwać ją w ramiona i obsypać pocałunkami, ale ktoś mógłby to opacznie zinterpretować.

- O nic – mruknąłem.
- Jak minęła pierwsza połowa?
- Zdaje się, że przegrywamy dwoma punktami.
- Jack zdobył jakiś?
- Nie sędzę, nie.

Ali przez moment wpatrywała się w moją twarz i zobaczyła w niej coś, co jej się nie spodobało. Odwróciłem się i poszedłem na trybunę. Usiadłem. Ali usiadła obok mnie. Minęły dwie minuty meczu.

- No więc, co się stało?
- Nic.

Wierciłem się na twardych deskach.

- Kłamczuch – powiedziała Ali.
- Skupiłem uwagę na grze.
- Kłamczuch.

Spojrzałem na nią, na tę śliczną szczerą twarz, na piegi, których w tym wieku nie powinna mieć, a które tylko dodawały jej uroku, i też coś zobaczyłem.

- Ty także wyglądasz trochę nieswojo.

Pomyślałem, że nie tylko dzisiaj, lecz przez kilka minionych tygodni trochę się między nami nie układało. Ali była roztargniona i podenerwowana, ale nie chciała o tym rozmawiać. Ja byłem bardzo zapracowany, więc nie nalegałem.

Nie odrywała oczu od boiska.

- Czy Jack dobrze grał?

– Dobrze – powiedziałem. A potem dodałem: – O której masz jutro samolot?

– O trzeciej.

– Odwiozę cię na lotnisko.

Córka Ali, Erin, dostała się na stanowy uniwersytet w Arizonie. Ali, Erin i Jack lecieli tam na tydzień, żeby pomóc jej się urządzić.

– Nie musisz. Już zamówiłam samochód.

– Z przyjemnością was zawiozę.

– Nie trzeba.

To stwierdzenie kończyło wszelką dyskusję na ten temat. Próbowałem uspokoić się i obserwować mecz. Tętno wciąż miałem przyspieszone.

– Dlaczego wciąż patrzysz na trenera tamtej drużyny?

– Jakiego trenera?

– Tego z fryzurą kiepskiego showmana z kablówki i bródką Robin Hooda.

– Szukam inspiracji do mojego nowego image'u.

Prawie się uśmiechnęła.

– Czy Jack dużo grał w pierwszej połowie?

– Tyle co zwykle.

Mecz się zakończył i Kasselton wygrało trzema punktami. Tłum wiwatował. Trener Jacka, pod każdym względem porządny gość, wołał nie wystawiać go w drugiej połowie. Ali była tym trochę zaniepokojona, ponieważ trener zazwyczaj dawał pograć wszystkim dzieciakom, ale postanowiła nie pytać.